



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Wiesława Michalska-Krajewska

## Dwa okupacyjne dni

Urodziłam się i wychowałam w Częstochowie. W okresie okupacji miasto należało do Generalnej Guberni. Polskie dzieci mogły chodzić tylko do szkoły powszechnej. Zamiast książek drukowano dla nas broszury, nie mające nic wspólnego z naszą historią i kulturą. Uczono nas pisać i czytać po polsku oraz umiejętności przydatnych dla przyszłych robotników.

Nie mogę powiedzieć, aby moje dzieciństwo w tym czasie było szczególnie dramatyczne. Nie zaznałam nawet uczucia głodu. Mieszkaliśmy we własnym domu z ogrodem. Warzyw i owoców nie brakowało. Ojciec zbudował komórkę dla kozy, która była dla mnie utrapieniem. Nie miałam czasu na zabawy z dziećmi, bo musiałam paść kozę.

Z czasów wojny zapamiętałam dwa dni, które zaważyły na całym moim życiu. Pierwszy z nich to 3 września 1939 roku. W nocy Niemcy bombardowali Jasną Górę. Wielkich strat nie uczynili, ale sam fakt wywołał panikę w mieście. Skoro Hitler, nie bojąc się Boga zlekceważył święty relikwiarz Polaków, to na pewno nie ulegnie sprzeciwom Francji czy Anglii. „Zrobi z nami co będzie chciał” – powtarzał ojciec.

Rodzice postanowili uciekać z miasta. Tym bardziej, że mieszkaliśmy blisko Huty Raków. Byliśmy przekonani, że Niemcy przede wszystkim zbombardują Hutę. Tak się jednak nie stało. Ale skąd mogliśmy o tym wiedzieć?

Trzeciego września matka obudziła mnie o 5 rano. Rodzice byli już spakowani. Matka na moim rowerze umieściła pościel i ubrania. Ojciec posadził mnie na siodelku z tyłu i umocował dwie walizy. Postanowił wywieźć nas do rodziny na wieś, która położona była 20 kilometrów za miastem. Sam miał dołączyć do wojska – podobnie jak jego koledzy.

Przed południem słońce dopiekało, jak w lecie. Ojciec spocony zatrzymał się, by odpocząć. Coraz trudniej było jechać. Dokoła nas coraz więcej uciekinierów. Obładowani paczkami, posuwali się coraz wolniej. Najwięcej było kobiet, które swój dobytek załadowały na dziecinne wózeki.

W pewnym momencie usłyszeliśmy nadjeżdżający z przeciwnej strony autobus. Okna miał pootwierane. Pasażerowie ciągle coś wykrzykiwali. Nie rozumiałam dlaczego tak wrzeszczą. Jeden z nich miał zabandażowaną rękę. Krew przesiąkała przez bandaż. Machając ręką wskazywał, byśmy się wrócili do miasta, bo tam gdzie idziemy Niemcy bombardują.

Autobus szybko minął naszą kolumnę. Ludzie stanęli, odprowadzili go wzrokiem aż za zakręt i poszli dalej bez słowa. Ale szli coraz szybciej, jakby bagaże niewiele ważyły. Po kilku minutach usłyszeliśmy warkot samolotu. Ojciec spojrzał w górę i powiedział do mamy – „na pewno nasz”. Żeby

go zobaczyć musiałam przymrużyć oczy, bo słońce świeciło jaskrawo. Ujrzałam tylko błękit nieba bez jednej chmurki, ale nic poza tym.

Nagle usłyszałam groźny głos ojca: „Nie zatrzymuj się. Trzymaj się mamy. Nie podoba mi się ten samolot. Zanadto nad nami krąży”. Mnie się też przestała podobać ta wycieczka. Nogi mnie bolały. Miałam ochotę zapłakać, ale wstyd mi było przed obcymi ludźmi, którzy nas otaczali. Zwiesiłam głowę i spojrzałam pod nogi. Miałam bardzo zakurzone buty. Inni ludzie też. To nie była asfaltowa nawierzchnia, a żółta, ubita ziemia, spalona słońcem. Piasek podnosił się i opadał. Utworzył się nad nami swoisty parasol. Starsza pani z walizką w ręku ciągle kichała, albo wycierała nos chusteczką. Tłumaczyła mojej mamie, że nie jest przeziębiona, tylko ten kurz ją drapie w gardle.

Usłyszeliśmy strzały. Ludzie zaczęli krzyżeć: „Mordercy, do bezbronných strzelają!”. Wszyscy pochylili głowy i szli coraz szybciej. Zobaczyłam, jak piasek w niektórych miejscach podnosi się gwałtownie w górę i natychmiast opada. Tato – zawołałam – zobacz co się dzieje! Sam piasek unosi się w górę! W tym momencie kobieta prowadząca obok mnie wózek z dzieckiem gwałtownie uklęknęła. Oparła głowę na kocyku niemowlęcia, które nagle przebudziło się i zaczęło płakać. Czerwona plama krwi brudziła na plecach jasną sukienkę kobiety. Zrozumiałam...

„Pośpiesz się – krzychał ojciec. – Słyszysz, że do nas strzelają. Mogą nas tu powybić jak kaczki!”. Mnie też? – zapytałam. „Ciebie też” – odpowiedział ze złością i przyspieszył kroku. Mnie jednak ciągle nurtowało pytanie, dlaczego piasek tak się wysoko unosi. Zastanawiając się nad tym potknęłam się o leżącego człowieka. Patrzył przytomnie, tylko dokoła jego głowy rozszerzała się kałuża krwi. Rękę unosił do góry, jakby prosił, by ktoś go podniósł z tej ziemi. Rodzina widocznie nie zauważyła jego upadku, a inni nawet się nie zatrzymali.

Nie chciałabym tak leżeć. Mnie to by tatuś od razu podniósł z ziemi – pomyślałam. A jakby nie widział? Nie, nie, ja nie chcę tak leżeć. Tato! Tato! – zaczęłam krzyżeć. W tym momencie ojciec szarpnął mnie za ramię i kazał zejść z drogi. Nakazał mi wejść do rury melioracyjnej, dzielącej pole od szosy. Obie z mamą schyliłyśmy się, by wejść do środka. Nie było to łatwe. Kiedy zobaczyłam, że mama ukryła się pierwsza, zawołałam głośno: „Ja pierwsza powinnam się tam schronić. Ty jesteś stara mamó, możesz poczekać. Ja muszę żyć!”. Ten mój histeryczny pisk na pewno słyszeli ludzie, bo stanęli, by na mnie popatrzeć. Wtedy mama natychmiast wyczołgała się z rowu, cała umazana błotem. Pamiętam jej wielkie, wystraszone oczy, jakby zobaczyła przed sobą jakiegoś upióra.

Szybko wcisnęłam się do środka. Było tam grząsko i pachniało błotem. Ogarnęła mnie ciemność. Zaczęłam wołać: „Mamo, mamó! Chodź szybko!”. Nie czułam się tam bezpiecznie. Suknia mamy w niebieskie kwiaty, którą widziałam przed rowem, dodawała mi otuchy. Chwyliłam ją i wciągnęłam mamę do środka. „Przestań” – usłyszałam zimny jej głos. Przytuliłam się do niej szczęśliwa. Matka skulona koło mnie – jak nigdy nie chciała odpowiadać na moje liczne pytania.

Nie wiem jak długo siedziałyśmy w tym rowie. Miałam zupełnie zdrętwiałe kolana. Ucieszyłam się, kiedy ojciec kazał nam wyjść. Samoloty odleciały i zrobiło się cicho na szosie. Ludzie odpoczywali. Z częścią uciekinierów poszliśmy dalej.

Spokojny marsz nie trwał długo. Za jakiś czas znów nadleciały samoloty. Wtedy ojciec krzyknął do wszystkich: „Ludzie, uciekajcie do lasu”. Na szczęście weszliśmy w obszar, gdzie po obu stronach drogi rozciągały się lasy. „Uciekać – krzychał ojciec. – Bagaże zostawić na drodze!”. Matka dobiegła do mnie i siłą zaczęła mnie ciągnąć w kierunku drzew.

Nie chciało mi się biec. Byłam nieszczęśliwa – sukienka w błocie, strasznie mi się chciało pić, a teraz ten bieg przez pole.

– Zlituj się dziewczyno. Zaraz nadlecą samoloty. Chcesz, żeby cię zabili? Przecież chcesz żyć, krzychałaś przed chwilą!

Wtedy przypominałam sobie tamtego człowieka zostawionego na szosie, który bezskutecznie podnosił rękę, żeby go ktoś podniósł. Zaczęłam biec coraz szybciej. Matka biegła nachylona nade mną. To mi kępowało ruchy.

– Mamo, przestań – krzychałam. – Nie mogę biec!

– Nic nie szkodzi córeczko, ale jak będą strzelać, to mnie zabiją, a nie ciebie.

Powiedziała to takim tonem, że zrobiło mi się jej żal. Nie chciałam, żeby jej się coś złego przytrafiło, więc wyskoczyłam do przodu i biegłam jak szalona. Samolot zniżał, podnosił się, a potem słyszałam serię strzałów. Ludzie zaczęli krzyżeć. Biegłam dalej jak na skrzydłach.

Pierwsza dopadłam lasu. Odwróciłam się. Kilka osób leżało na polu. Rodzice biegli dalej. Samolot znowu zaczął krążyć nad nami. Powtórzyła się strzelanina. Rodzice szczęśliwie dobiegli. Potem znaleźliśmy dom gajowego. Tam odpoczęliśmy. Mama wyprała zabłocone sukienki.

Na drugi dzień ojciec wynajął furmankę i wróciliśmy z mamą do Częstochowy. Ojciec z innymi mężczyznami poszedł szukać wojska polskiego. Bardzo chciał walczyć z Niemcami. Wrócił do nas po dwóch miesiącach. Nie doczekał się munduru. Musiała mu wystarczyć walka po cywilnemu w partyzance.

I tak zaczęła się dla mnie wojna. Był to jednocześnie pierwszy dzień, który najbardziej utrwalił się w mojej pamięci. Trzeciego września nastąpiło gwałtowne przebudzenie ze spokojnego, szczęśliwego dzieciństwa.

Natomiast ten drugi dzień, o którym wspomniałam na początku, zdarzył się w lutym 1943 roku. Nasz dom znajdował się niedaleko Huty. Dzieliły nas od niej tylko tory kolejowe, niewielkie poletko sąsiadów i nasz ogród. Semafor zatrzymywał tu pociągi osobowe i towarowe przed wjazdem na pobliską stację. Najbardziej oczekiwane były pociągi z węglem. Czasem stały one przed semaforem kilkanaście minut. W tym czasie co odważniejsi sąsiedzi wdrapywali się na wagony. Jedni zrzucali węgiel na tory, drudzy ładowali do worków i umykali z tym drogocennym opałem.

Tej zimy było wyjątkowo mroźnie. Nie mieliśmy czym palić. Rodzice przenieśli łóżka z pokoiów do kuchni. Paliło się tylko podczas gotowania posiłków. Matka coraz częściej namawiała ojca, by zrobił skok na pociąg – jak inni sąsiedzi.

– Nie mogę ryzykować – tłumaczył. – W naszej piwnicy mamy ukryty radioodbiornik. A gdyby tak przyszli szukać węgla u nas? Nie, nie będę z tak głupiego powodu tracił życia i narażał innych. Nie namawiaj mnie, jakoś wytrzymamy.

To prawda, że było to niebezpieczne. Czasem razem z transportem węgla jechali Niemcy. Jeśli Polacy ich nie zauważyli, wówczas ginęło na miejscu kilka osób. Do uciekających strzelali, jak do zwierzyny. Od czasu do czasu specjalne ekipy Niemców przeszukiwały nasze piwnice. Jeśli znaleźli węgiel nakrapiany wapnem, był to dowód, że pochodził on z kradzieży. Nieszczęśników wywozili na roboty do Rzeszy. Ludzie kradziony węgiel myli wodą, by nie było śladu po wapnie, a jednak zdarzało się często, że ktoś był nieostrożny.

Pewnego dnia znowu stanął pociąg towarowy. Ludzie jak jastrzębie rzucili się na wagony. Sprawniejsi wchodzili na górę, inni zbierali. Matka tego dnia także postanowiła spróbować szczęścia. Najpierw przyniosła trzy duże pacyny węgla i rzuciła je na podłogę w pokoju. „Zaraz zmyj je z wapna” – prosiła. A sama znów pobiegła na tory. Ojciec krzyknął za nią, żeby wracała, ale nie słuchała go. Węgiel był dla niej najważniejszy w tej chwili. Razem z kilkoma innymi ludźmi biegła na tory. Tego dnia obficie zrzucano bryły węgla. Nie za duże i nie za małe, akurat do zbierania.

Stanęłam przy furtce i razem z ojcem obserwowałam każdy ruch mamy. Oby jak najszybciej wróciła do nas – martwiłam się. Kiedy miała już pół worka, chciała go sobie zarzucić na plecy, ale nie miała siły, więc zaczęła go wlec po ziemi. Uszła może parę kroków od torów, kiedy usłyszeliśmy krzyk biegnących Niemców: „Halt, halt!”.

Zaczęła się strzelanina. Najpierw strzelali do chłopców zrzucających węgiel z wagonów, a potem podążyli za uciekającymi. Wszyscy uciekali w popłochu, ale nikt nie rzucał ukradzionego węgla. To ich gubiło.

Mama zachowała się zupełnie inaczej. Natychmiast rzuciła worek. Szła coraz wolniej. Palto, które miała przewrócone na lewą stronę, by nie pobrudzić węglem, włożyła teraz na właściwą. Chustkę zdjęła z głowy. Wyprostowana jak struna, szła powoli przypominając lunaticzkę.

Paraliżujący strach ścisnął mnie za gardło. Nie mogłam słowa powiedzieć. A ojciec odwrotnie – zaczął zawodzić: „Zabijają, zabijają! Nie chciała mnie słuchać”.

Tymczasem Niemcy zbliżali się do nas, nie przestając strzelać do uciekających, których było już coraz mniej. A mama jakby szła na spacer. Nie wytrzymałam. Krzyknęłam:

– Tato, ratuj mamę! Nie stój tak!

Ale ojciec tylko zasłonił oczy, żeby nie widzieć mamy padającej. Ta bezradność tak mnie zdenerwowała, że nie namyślając się wiele jak strzała wybiegłam z domu. Dobiegłam do mamy. Ślaniała się na nogach. Dostała ataku serca, nie mogła oddychać. Miała szarą twarz. Tylko krople potu spływały jej po nosie. Miałam wrażenie, że nie zdaje sobie sprawy z tragicznej chwili. Oparła się o moje ramię, by nie upaść i tak z nogi na nogę posuwałyśmy się do przodu.

– Dlaczego przyszłaś? – zapytała po chwili. Przecież mogą cię zabić. Ja jestem stara, jak już kiedyś powiedziałaś. Ty musisz żyć. Jesteś zaledwie dzieckiem.

Nagle stanęła mi przed oczami tamta chwila z 3 września, o której zupełnie nie pamiętałam. Zatarła się w mojej pamięci. Ale teraz słowa mamy zabolowały mnie. Chciałam zaprzeczyć, zamilkłam jednak. Wiedziałam, że ona tych słów nie zapomniała. Wstydziłam się – przecież kochałam mamę. Aby udowodnić, że tak naprawdę nie myślałam, stanęłam teraz za mamą i podtrzymując ją w talii zaczęłam szybciej iść.

– Co ty robisz?! Przecież jak będą do mnie strzelać, to ciebie zabiją. Dziecko, odejdz ode mnie. Ty nie kradłaś węgla, tylko ja.

– To nic mamo – mówiłam jej do ucha. – To nic... Nie przejmuj się. Ty musisz żyć dla ojca. A co tam ja? Głupia byłam, że tak kiedyś powiedziałam. Przepraszam.

– Co ty mówisz, dziecko...

---

Cudem wróciliśmy całe i zdrowe do domu. Nie wiem dlaczego Niemcy nie strzelali do nas. A zresztą może i strzelali. Byliśmy przecież odwrócone do nich tyłem. Ojciec też niczego nie widział, bo cały czas miał zasłonięte oczy.

Wracając z mamą przy każdym odgłosie strzału bardziej zbliżałam się do niej, by ją chronić własnym ciałem. Najbardziej jednak nienawidziłam słowa „halt”. Kiedy je słyszałam, sztywniałam jak sparaliżowana. Tym bardziej, że często z tym słowem kojarzyła się czyjaś śmierć. Widziałam jak Niemcy strzelali do Żydów idących z baraku do pracy w Hucie. Tym razem jednak „halt” – wdzierające się do mózgu – nie robiło na mnie takiego wrażenia. Widocznie moje postanowienie, by chronić mamę, było silniejsze. Zasłaniałam ją od kuli własnym ciałem, drepcąc jej po piętach. Byłam przekonana, że nic się jej stać nie może.

Kiedy dotarliśmy szczęśliwie do podwórka, mama bezsilnie usiadła na schodach prowadzących do domu i zaczęła głośno płakać. Ja uczyniłam to samo, choć nie wiem dlaczego. Wcale nie chciało mi się płakać.

Od tego dnia byliśmy sobie bliższe. Jakieś dodatkowe uczucie połączyło nas. Nie lubiłam tylko, kiedy matka opowiadała sąsiadom o mojej odwadze, bo to wydarzenie przypominało tamto z 3 września.

Zmienił się mój stosunek do mamy. Coraz częściej starałam się nią opiekować i tak już zostało do ostatnich dni jej życia. Nie szukałam oparcia w jej ramionach. To ona szukała mojego wsparcia. Stałam się silniejsza od niej. Myślę, że byłabym innym dzieckiem i innym człowiekiem, gdybym nie przeżyła tych dwóch dni.